

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 233
wrzesień 2008



WSTĘPNIAK WRZEŚNIOWY

Wraca zainteresowanie tematyką II wojny światowej. Wielkim sukcesem okazała się forma ekspozycji w Muzeum Powstania Warszawskiego. W Gdańsku istnieją poważne plany utworzenia Muzeum II Wojny Światowej oraz trwa rewitalizacja Westerplatte. Kręcone są filmy kinowe i telewizyjne serie sięgające do tematyki wojennej. Rozpisywane są konkursy na kolejne wojenne komiksy.

Chciałbym więc podzielić się z Czytelnikami „Informatora” pomysłem (zrodzonym na internetowym forum wejher.com) na jeszcze jeden wojenny film fabularny. Mógłby on nosić tytuł „Piaśnica”. Tematyka kaszubskiego pogranicza u progu i w początkach Światowej zawieruchy wydaje się bowiem w tym kontekście interesująca i inspirująca!

W podwejherowskiej Piaśnicy zginęło kilkakrotnie więcej ludzi niż w podwarszawskich Palmirach. Oczywiście, ludzkich istnień nie przelicza się na rzędy cyfr – ale wiedza o tym pomorskim miejscu straceń nadal prawie nie funkcjonuje w głębi kraju (mimo kilkukrotnej emisji w TVP dokumentu „Las Piaśnicki”). No, i zważywszy na kryteria, jakimi kierowali się oprawcy – było to równie planowe uderzenie w potencjalnych lokalnych liderów, jak dokonany przez drugiego z wrześniowych agresorów mord w Katyniu... Przecież wśród dwunastu tysięcy ofiar byli zarówno rdzenni mieszkańcy Pomorza (w tym gdańska Polonia), jak też urzędnicy państwowi przylani na Pomorze z innych regionów Polski.

Co mogłoby się znaleźć w fabule filmu? A, całkiem sporo: wejherowski burmistrz rozpędzający nielegalne mityngi miejscowych Niemców; owi Niemcy poprzysięgający sobie „rozprawienie się z tym butnym Polakiem”; magistracki woźny Jan Szewa uciekający do Wolnego Miasta i przeobrażający się w Hansa Schoewe (a potem biorący udział w ataku na polską pocztę); sam wybuch wojny i wkroczenie wojsk hitlerowskich; nazistowska lista mieszkańców Pomorza uznanych za „wrogów Rzeszy”; gauleiter Albert Forster „ryczący jak diabeł” z balkonu wejherowskiego ratusza; aresztowanie, poniżenie i śmierć burmistrza Teodora Bolduana i prałata Edmunda Roszczyniańskiego; pijani gestapowcy chwalcący się w knajpie zamordowaniem polskiego burmistrza oraz sprowokowana przez polskich restauratorów „wizja lokalna” (dzięki czemu możliwa była powojenna ekshumacja); los miejscowych Żydów; przejęcie zabytkowej willi przy krokowskiej szosie na siedzibę gestapo; decyzja o uczyńczeniu pobliskiego lasu miejscem masowych straceń; niemiecka zemsta na wejherowiance spontanicznie witającej przed laty armię gen. Hallera; dramatyczne okoliczności aresztowania siostry Alicji Kotowskiej (notabene późniejszej błogosławionej); Kaszubka będąca przypadkowym świadkiem pierwszych egzekucji; barbarzyńska dewastacja kalwaryjskich figur; wywózkowa akcja „Dworzec”, niespodziewanie odwołana (z kluczami oddawanymi potem w kopertach!); bestialstwo okupantów w piaśnickim lesie – i pewnie jeszcze niejedno... Przed napisami końcowymi mogłoby się pokazać nawet czarno-białe ujęcie z powojennego już powieszenia „kata Piaśnicy” na dziedzińcu warszawskiego więzienia (podobny zabieg zastosowano m.in. w „Liście Schindlera”).

Obok funduszy – problemem byłby na pewno scenariusz. Dobrze by było, gdyby uwzględnił on te wszystkie dramatyczne wydarzenia – ale nie mógłby to być żaden mechaniczny kalejdoskop, przypadkowy zlepek scen: one musiałyby to siebie wynikać, łączyć się dramaturgicznie. Czy to na zasadzie, że postacie historyczne stałyby się głównym i zbiorowym bohaterem filmu, czy to na zasadzie, że bohaterem jest jakaś fikcyjna rodzina (zaś wydarzenia historyczne pobrzmiwają w tle), czy to na zasadzie kontaminacji obu tych ujęć. W każdym razie – byłoby to autentyczne wyzwanie dla scenarzysty, dobrego scenarzysty!

Wiem, że nasz klubowy periodyk czytają także ludzie zajmujący się kulturą i sztuką zawodowo. Może kogoś z nich, lub kogoś z ich otoczenia, powyższy pomysł zainteresuje – chociażby jako temat wojennej powieści czy noweli.

URODZINY

Kochani listopadowi Jubilaci!

Przyszliście na ten świat w najbrzydszym
i najsmutniejszym miesiącu w roku...

Wobec powyższego nie będziemy Was już dołować
- i życzymy Wam tak radosnych urodzin, jak to
tylko w tym przypadku możliwe!

Redakcja „Info”

- | | |
|--------------------------|------------------------|
| 1 Krzysztof Kielichowski | 16 Sławomir Ginter |
| 5 Marcin Grygiel | Mikołaj Zbrzeźniak |
| 8 Piotr Mazurowski | 26 Jaśmina Kotlarek |
| 10 Marcin Rutkowski | 28 Adam Jakubowski |
| 11 Elżbieta Kotlarek | Małgorzata Stankiewicz |
| 12 Joanna Piszczek | 30 Konrad Wawruch |
| 13 Ewa Krasowska | |



WRZEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 17 września 2008 r. Ważniejsze z poruszanych spraw.

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Sprawa Komisji Rewizyjnej

Ponieważ Komisja Rewizyjna nie zdołała uzupełnić swój skład do 3 osób, więc zgodnie ze statutem zachodzi konieczność zwołania Nadzwyczajnego Walnego Zebrania, celem wyboru nowej Komisji Rewizyjnej.

2. Zarząd postanowił przyspieszyć zwołanie Walnego Zebrania GKF i ustalił datę na 13 grudnia 2008 r. (5 głosów za).

3. W związku z niespełnianiem statutowego wymogu minimalnej liczby członków postanowiono rozwiązać KL „Brethren”, a troje pozostałych członków przenieść do KL „Angmar”, chyba że do dnia 30 września zgłoszą chęć przeniesienia do innego klubu.

3. Poruszono sprawę Walnych Zebrań klubów lokalnych. Walne Zebranie EKFT „First Generation” odbędzie się 4 października 2008 r., a KF „Angmar” w tym samym dniu.

II. SPRAWY FINANSOWE

1. Przedstawiono stan subkont klubów lokalnych.

2. W związku z rozwiązaniem KL „Brethren” postanowiono zlikwidować jego subkonto, a znajdującą się na nim kwotę przenieść proporcjonalnie na subkonta innych klubów, w zależności od wyboru nowego klubu dokonanego przez dotychczasowych członków.

3. Przedstawiono informację o wysokości wpłat z tytułu 1 % od podatku dochodowego za rok 2007.

III. IMPREZY

1. Przedstawiono krótką relację z Polconu 2008 w Zielonej Górze.

Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze GKF

**zostanie przeprowadzone w dniu 13 grudnia 2008 roku
o godz. 12:00.**

Z powodu perypetii z Komisją Rewizyjną, stało się konieczne zwołanie Nadzwyczajnego Walnego Zebrania – celem wybrania nowego jej składu. Ponieważ w lutym 2009 roku kończy się kadencja władz GKF, Zarząd postanowił nie mnożyć Walnych Zebrań, ale przyspieszyć zwyczajne Walne Zebranie.

Zgodnie ze Statutem GKF (§ 23, pkt. 4):

Delegatami na Walne Zebranie są członkowie Zarządu GKF, członkowie Rady Stowarzyszenia, członkowie Komisji Rewizyjnej oraz delegaci Klubów Lokalnych wybrani przez Zarządy Klubów Lokalnych w ilości proporcjonalnej do liczby członków klubu. Stosunek proporcjonalności każdorazowo ustala Zarząd GKF.

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

druga połowa października 2008

IMPERIUM KOŚCI SŁONIOWEJ – NAOMI NOVIK

Wydawca: Rebis

DEMONY – ŁUKASZ ŚMIGIEL

Wydawca: Red Horse

SACRED. ANIELSKA KREW – STEVE WHITTON

Wydawca: Fabryka Słów

SOPEL część I i II – PAWEŁ KORNEW

Wydawca: Fabryka Słów

WOJNY PROWOKUJĄ NIEUDACZNIICY – WADIM PANOW

Wydawca: Fabryka Słów

ZA WSZELKĄ CENĘ część I i II – DAVID WEBER

Wydawca: Rebis

BIAŁA WIEDZMA – ADAM ZALEWSKI

Wydawca: Red Horse

GROBOWY ZMYŚŁ – CHARLAINE HARRIS

Wydawca: Fabryka Słów

KANON BARBARZYŃCÓW tom 1

Wydawca: Fabryka Słów

TAJEMNA HISTORIA MOSKWY – EKATERINA SEDIA

Wydawca: MAG

WAŚKA ŚCIEŻKA CZAROWNICY – PIOTR PATYKIEWICZ

Wydawca: superNOWA

OSTATNI BASTION BARTA DAWESA – STEPHEN KING

Wydawca: Prószyński i S-ka

WALKA – L.J. SMITH

Wydawca: Amber

PIES I KLECHA. TANCERZ – ŁUKASZ ORBITOWSKI, JAROSŁAW URBANIUK

Wydawca: Fabryka Słów

PRAWEM WILKA – SZCZEPAN TWARDUCH

Wydawca: superNOWA

SAMOTNIE (ÆGYPT) – JOHN CROWLEY

Wydawca: Solaris

CZYSTOPIŚ – SIERGIEJ ŁUKJANIENKO

Wydawca: MAG

NIKT – MAGDALENA KOZAK

Wydawca: Fabryka Słów

ADEPT MAGII – RAYMOND E. FEIST

Wydawca: ISA

ROZGRYWKA CIENIA – TAD WILLIAMS

Wydawca: Rebis

SYNOWIE DĘBU – DAVID FARLAND

Wydawca: Rebis

TAMTA STRONA CZASU – EUGENIUSZ DĘBSKI

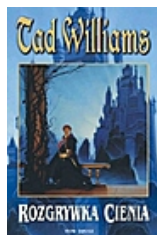
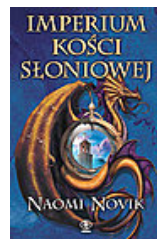
Wydawca: Fabryka Słów

NOCNY OBSERWATOR - OLEG DIWOW

Wydawca: Fabryka Słów

RETROSPEKTYWA. BŁĘDNY RYCERZ tom 3 - GEORGE R.R. MARTIN

Wydawca: Zysk



Na podstawie serwisów: esencja.pl, katedra.nast.pl i solarisnet.pl przygotował:

Janusz Piszczek

NIUSY

„NIKE” BEZ „LODU”

Wśród finalistów tej najbardziej prestiżowej polskiej nagrody literackiej – nie znalazła się niestety najnowsza powieść Jacka Dukaja.

jpp

PO „INDIANA JONESIE” – „GWIEZDNE WOJNY”

Program 2 TVP przypomina w weekendy wszystkie części gwiazdnej sagi George’a Lucasa – w kolejności epizodów I-VI. Tym razem ma to związek z kinową premierą animowanych „Wojen klonów”.

jpp

WYPASIONY POWRÓT SUPERHITU

W drugiej dekadzie września (16 – USA; 19 – reszta świata, w tym Polska) ukazała się Edycja Rozszerzona multimedialnej gry „Wiedźmin”.

jpp



„SOUTH PARK” NA CENZUROWANYM (W ROSJI)

Rosyjscy prokuratorzy chcą zakazać emisji „South Parku”. „– Dostaliśmy wiele skarg od widzów. To ekstremizm w czystej postaci” – wyjaśniali publicznie. I nie żartowali. Popularna amerykańska kreskówka dla dorosłych może zniknąć z telewizyjnych ekranów. Szykuje się więc, że to właśnie Rosjanie ostatecznie zabijają Kenny’ego. Za to ZSRR wydaje się wiecznie żywy!

wg: www.deser.pl

DO CZTERECH RAZY SZTUKA

Raczkujący prywatny przewoźnik kosmiczny, firma SpaceX, ma powody do świętowania - po serii porażek czwarty lot Falcona 1 w końcu skutecznie wyniósł na orbitę makietę satelity. Uważa się, że sukcesy tego typu prywatnych przedsięwzięć mogą zrewolucjonizować rynek lotów kosmicznych, potencjalnie obniżając koszt wyniesienia 1 kg na orbitę o rząd wielkości.

mader



DWULECIE UNIKATOWEJ PLACÓWKI KULTURALNEJ

W dniu 26 września, w kameralnym gronie i przy znakomitych słodkościach, Pracownia Komiksowa na Suchaninie (filia Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku) obchodziła swe drugie urodziny. Gratulacje – i najlepsze życzenia!

jpp

MIAŁ OBSERWOWAĆ NIE TYLKO GWIAZDY?

Profesor Aleksander Wolszczan przyznał się do kontaktów z peerelowską Służbą Bezpieczeństwa – oświadczając jednocześnie, iż „nigdy nikomu nie zaszkodził”.

Przypomina się tu fragment dialogu z pewnego komiksu rysowanego w połowie roku 1987: „...czy jesteś całkowicie pewien, że polujesz tylko na własną rękę – i wyłącznie na upiory?”...

jpp



MACHINA KOŃCA – CZY POCZĄTKU ŚWIATA?

10 września rano ruszył jeden z największych eksperymentów w dziejach fizyki: w CERN pod Genewą uruchomiony został akcelerator LHC (Wielki Zderzacz Hadronów) – kosztująca 8 mld dolarów 27-kilometrowa rura rozpędzająca protony niemal do prędkości światła i powodująca ich czołowe zderzenia z siłą dotąd w laboratoriach niespotykaną. Naukowcy mają nadzieję, iż w tych kolizjach na ułamek sekundy stworzą się nieznanne jeszcze cząstki materii (np. hipotetyczna cząstka Higginsa, niewidoczna ciemna materia, miniaturowe czarne dziury, jakieś zupełnie zaskakujące „dziwadełka”). Wyniki eksperymentu będzie analizować 7 tys. fizyków z kilkudziesięciu krajów (w tym ponad 300 z Polski); pierwszych rewelacji można się jednak spodziewać najwcześniej w przyszłym, gdyż z uwagi na awarie – LHC został wyłączony do wiosny.

jpp

ZUPEŁNIE INNY „BATMAN”?

Sylvester Stallone to wymarzony kandydat Franka Millera do głównej roli w ewentualnej ekranizacji albumu komiksowego „Powrót Mrocznego Rycerza”, w którym emerytowany Batman powraca, by po raz ostatni zmierzyć się ze złem. „- Uwielbiam Rocky’ego Balboa. Cierpiący bokser przypomina mi Batmana w 'Powrocie Mrocznego Rycerza'” – powiedział Miller dziennikarzowi „LA Times”. Dodał też, iż odpowiadają mu usta oraz pochmurna mina Stallone’a – i już widzi aktora w masce Batmana. O realizacji „Powrotu Mrocznego Rycerza” mówi się w Hollywood od jakiegoś czasu. Na razie jednak ów film pozostaje w obszarze spekulacji.



wg: www.gildia.pl

SŁOŃCE – REAKTYWACJA

Satelita SOHO zauważył pierwszą od dawna plamkę na tarczy naszej gwiazdy; wskazuje to na początek 11-letniego cyklu aktywności.

jpp

3 FESTIWAL FILMÓW POPULARNONAUKOWYCH

...odbył się w auli Wydziału Zarządzania UG w Sopocie w dniach 25-26 września.

jpp

MERCEDES LEMA

27-letni mercedes, który należał do Stanisława Lema, został sprzedany na internetowej aukcji dobroczynnej za ponad 50 tys. zł. Aukcja cieszyła się dużym zainteresowaniem. Do licytacji włączyło się 61 osób. Samochód, z benzynowym silnikiem 2,8 l o mocy 185 KM i z przebiegiem 109 tys. km, przekazała na aukcję rodzina zmarłego w 2006 roku pisarza. Lem kupił auto w Berlinie Zachodnim wiosną 1981 roku. Mercedes był regularnie serwisowany w autoryzowanym warsztacie w Berlinie Zachodnim. Wielokrotnie przekraczał granicę pomiędzy Wschodem a Zachodem. Jego właściciel wykorzystywał go do przewożenia dóbr nieosiągalnych w ówczesnej Polsce – do których zaliczały się produkty takie jak szynka w puszkach czy papier toaletowy; jednocześnie za oparciem tylnej kanapy przemycana była „Kultura” paryska i inne pisma emigracyjne (aby wydobyć potem te niewielkie książeczki – specjalne miniaturowe wydania, przeznaczone do przemytu na terytorium PRL – autor „Dzienników gwiazdowych” zaopatrzył się w sklepie medycznym w... szczypce porodowe).



wg: www.wp.pl

DEBEŚCIAKI CZY FARCIARZE?

Powszechnie wiadomo, że panowanie dinozaurów zakończyło się podczas najstępniejszego (aczkolwiek nie największego) wymierania gatunków 65 mln lat temu. Jednak z nimi wiąże się jeszcze dwa inne wielkie wymierania: 228 i 200 mln lat temu. Ale te akurat wymierania gatunków otworzyły drogę do tronu dinozaurom właśnie! Dinozaury pojawiły się dziejach Ziemi jakiś 230 mln lat temu, jako jedna z grup tzw. gadów naczelnych (archozaurów). Obok nich żyli poprzedni władcy lądów (gady ssakokształtne) oraz gady naczelne z grupy Crurotarsi (blisko spokrewnione z krokodylami). Zwycięstwo dinozaurów w walce o władzę wydawało się paleontologom czymś oczywistym. Ale teraz, na łamach „Science”, brytyjscy i amerykańscy uczeni stawiają tezę, że dinozaury miały po prostu więcej szczęścia niż ich dalecy kuzyni. Argumentują to m.in. tym, iż różnorodność gatunków w grupie Crurotarsi była wtedy nieporównanie większa. Nie wszystkich badaczy to jednak przekonuje – kontrargumentami „konserwatystów” są np. zmiana klimatu (bardziej ciepły i uchy sprzyjał dinozaurom) czy ustawione pod ciałem – a nie rozstawione na boki – kończyny (dinozaury zużywały w biegu mniej energii niż ich konkurenci).

jpp



PRZEDLEGENDZIE

Powstanie prequel niedawnej ekranizacji „Jestem legendą”. W filmie zobaczymy ostatnie dni ludzkości przed atakiem tajemniczego wirusa, który zamienił mieszkańców Ziemi w zmutowane stwory. Obsada i reżyseria – bez zmian.

jpp

NAUTILUS 2007

Podczas łódzkiego konwentu U-bot zostały przyznane literackie nagrody Nautilus za rok ubiegły w kategoriach opowiadanie i powieść. Opowiadania: Tomasz Bochiński – „Cudowny wynalazek pana „Bella”, Robert M. Wegner – „Przebudzenie”, Rafał Dębski – „Kura”, Robert M. Wegner – „I będziesz murem”, Jakub Nowak – „Karnawał”. Powieści: Rafał Dębski – „Gwiazdozbiór Kata”, Jarosław Grzędowicz – „Pan Lodowego Ogrodu” (tom II), Magdalena Kozak – „Renegat”, Łukasz Orbitowski & Jarosław Urbaniuk – „Pies i Klecha: przeciwko wszystkim”, Jacek Dukaj – „Lód”.

wg: www.gildia.pl

FUTURYSTYCZNY ŻŁOTY LEW NA MIĘDZYNARODOWYM BIENNALE ARCHITEKTURY

Po raz pierwszy autorzy polskiego pawilonu (Grzegorz Piątek, Jarosław Trybuś, Kobas Laksa, Nicolas GrosPierre, Agnieszka Morawińska) zostali triumfatorami tej prestiżowej imprezy w Wenecji. Zaprezentowali oni fotografie najśłynniejszych polskich budowli ostatnich lat oraz artystyczne wizje ich nowego wykorzystania w przyszłości (np. Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego jako centrum handlowe, warszawski biurowiec Metropolitan jako zakład karny, Terminal 2 na Okęciu jako ferma drobiu). Cały pomysł wziął się z konstatacji, iż przecież wiele dawnych budowli pełni dziś funkcje zupełnie inne od zamierzonych! Więcej na ten temat: www.labiennale.art.pl

jpp



NIE ODPUSCIŁ SOBIE

Richard Garriott – milioner, który dorobił się fortuny na grach komputerowych (a jednocześnie syn amerykańskiego astronauty Owena Garriotta, który w 1973 roku był na stacji Skylab) – to kolejny kosmiczny turysta. Z uwagi na kłopoty ze wzrokiem nie mógł pójść w ślady ojca, więc za 30 milionów dolarów leci rosyjskim Sojuzem na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Od ojca usłyszał jedną radę: „cieszyć się widokiem!”.

jpp

LWY ŻŁOTE, SREBRNE, PLATYNOWE, BURSZTYNOWE...

XXXIII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych odbywał się w Gdyni w dniach 15-20 września. Złote Lwy otrzymała „Mała Moskwa” Waldemarza Krzystka, Srebrnymi Lwami nagrodzono „Jeszcze nie wieczór” Jacka Bławuta; pełen wykaz tytułów i laureatów znajduje się na stronie www.fpff.pl.

jpp

NAJSTARSZE SKAŁY

...odkryto niedawno w Kanadzie, w powulkanicznym pasmie górskim Nuvvuagittuq; liczą grubo ponad 4 mld lat – i mogą się w nich znajdować pozostałości po pradawnej skorupie ziemskiej.

jpp

ODSZEDŁ KOLEJNY WIELKI

27 września zmarł Paul Newman. Przyczyną zgonu wybitnego aktora był rak płuc.

jpp

CHIŃCZYCY W KOSMOSIE

Chiński statek „Shenzhou” spędził na orbicie prawie trzy dni; to już trzeci chiński lot załogowy – połączony z pierwszym w ich programach wyściem człowieka w przestrzeń.

jpp



NOWE STARE DZIEŁA

Kopie polskich filmów fabularnych zostają przenoszone na nośnik cyfrowy – a jednocześnie są poddawane tak doskonałej obróbce, że jakość obrazu znacząco przewyższa oryginalny zapis na taśmie światłoczułej (operatorzy tych filmów są w szoku: mówią, że dopiero teraz widać w pełni efekt ich pracy!). Tak odnowiona filмотeka posłuży nie tylko celom archiwalnym i kolekcjonerskim – będzie bowiem ofertą dla nowych telewizji wysokiej rozdzielczości oraz nowoczesnych kin z cyfrowymi projektorami. Nad kopiami pracuje Kino Polska Dystrybucja, zaś koszt renowacji jednego filmu wynosi ok. 100 tys. zł. Odnowione zostały już: „Kanał”, „Pociąg”, „Matka Joanna od Aniołów”, „Austeria”, „Rękopis znaleziony w Saragossie”, „Sanatorium Pod Klepsydrą”.

jpp



„LEKSYKON WEJHEROWIAN”

Z początkiem września ukazała się ta najnowsza książka Reginy Osowickiej. Wśród ponad 400, historycznych i współczesnych, haseł osobowych pojawiło się też (podobnie jak wcześniej w II i III wydaniu „Bedekera wejherowskiego” teźże autorki) dwoje twórców komiksowych mieszkających w Wejherowie: Aleksandra Spanowicz i Jan Plata-Przechlewski; przy PiPiDżeju wspomniano m.in. o „Wampiurach”, fantastyce, GKF-ie i „Informatorze”. Szkoda jednak, że w tym nowym wejherowianum nie znalazło się hasło poświęcone Tomaszowi Meringowi – obecnie chyba najaktywniej działającemu wejherowskiemu „komiksarzowi”.

red.

KUBRICK DLA PENNA

Sean Penn jest tegorocznym laureatem Nagrody im. Stanleya Kubricka – przyznawanej przez amerykański oddział Brytyjskiej Akademii Filmowej i Telewizyjnej. Ten znakomity aktor i reżyser statuetkę odbierze 6 listopada w Los Angeles.

wg: www.gildia.pl

„JEŻ JERZY” NA GŁOSY ROZPISANY

Swoich głosów na potrzeby animowanej ekranizacji kultowego komiksu użyczą: Borys Szyc (Jeż Jerzy), Maria Peszek (Yola), Sokół (Stefan), Michał Kotowski (Zenek), Wojtek Wawszczyk (klon), Marcin Hycnar (Krzyś), Maciej Maleńczuk (Lilka), Krystyna Tkacz (mama Stefana), Grzegorz Pawlak (naukowiec), Jarosław Boberek (asystent), Leszek Teleszyński (polityk), Bilon (Roman). Nagrania już ruszyły. Obraz ma trafić do kin w roku 2010.

wg: www.komiks.nast.pl

ROZMOWA JAK Z NUT



wywiad z Andrzejem Habasińskim

Jan Plata-Przechlewski: Jesteś moim przyjacielem ze studiów – ale tytuł „Jak polonista z polonistą” został już wykorzystany w rozmowie z Adamem Mazurkiewiczem. A poza tym, chociaż w archiwalnych fanzinach GKF-u można znaleźć sporo Twoich utworów literackich oraz recenzji, dziś Czytelnikom „Informatora” kojarzysz się głównie ze stałą rubryką muzyczno-fantastyczną. **Może na początek powiedz parę słów o sobie?**

Andrzej Habasiński: Myślę, że każde następne pytanie odkryje jakąś tam cząstkę mnie, kawałek po kawałeczku, więc nie chciałbym się powtarzać. Tnij więc, Waśc, wstydu oszczędź!

JPP: Nie jesteś fanem fantastyki – zawsze powtarzasz, że to nie Twój świat. Ale jednak nie odrzucasz jej całkowicie. Za naszych studenckich czasów chodziliśmy razem do kina na „Gwiezdne wojny”, przeczytałeś „Czarnoksiężnika z Archipelagu”, „Władcę Pierścieni” czy „Solaris”.

AH: Mało tego, przeczytałem całą tetralogię pani LeGuin! I trzy pierwsze części cyklu „Hain” również. To są naprawdę świetne rzeczy. Poza wymienionymi przez Ciebie, da się wymienić jeszcze parę tytułów. Przede wszystkim powieści Dicka: „Człowieka z Wysokiego Zamku” i „Blade Runnera” udostępnił mi mój niezastąpiony Synek, z którym od lat wymieniamy się książkami i filmami. Ja mu w rewanżu ofiarowałem swój egzemplarz „Ubika” i tym samym ruszyła sztafeta pokoleń. A muszę dodać, że mój Syn także nie zalicza się do fanów fantastyki, a jednak Dicka ceni wysoko. O tym, czy przeczytamy jakąś książkę, czy też nie, decyduje fakt, iż jest to po prostu dobra literatura. A najlepsze powieści Dicka do tej kategorii bezapelacyjnie obaj zaliczamy.

JPP: **Wśród Twych ulubionych powieści i filmów są przykłady bardzo szeroko pojętej fantastyki (aczkolwiek niekoniecznie spod znaku science fiction, fantasy i horroru). Co Cię do tej konwencji literacko-filmowej przyciąga – a co Cię od niej odpycha?**

AH: Wspomniałeś o „Solaris” Lema. Zachwyciło mnie, ale już np. (wydany w tym samym tomie) „Niezwyciężony” – adekwatnie do tytułu – zwyciężył mnie. Podałem się, pomimo trzykrotnej próby podejścia. Co decyduje o tym, że jedna historia nas pochłonie, a druga odepchnie? Na pewno już sama otoczka świata SF jeży mi włosy na głowie. Cały ten fantastyczny hardcore – rakiety, skafandry, podróże międzyplanetarne, obce planety – są mi organicznie obce. Lubię coś, co ma choćby pozór baśni lub wyraźnie postawiony cudzysłów. W „Gwiezdnym wojnach”, choć tam też były rakiety, między wierszami jest jednak powiedziane prawie drugie tyle. To mądra opowieść o tym, że każdy z nas może się otrzeć o „ciemną stronę” – i jak łatwo temu ulec. Na każdego z nas może paść cień Lorda Vadera, a któregoś dnia nasz oddech może się stać niepokojąco głęboki. Robi się z tego szeroki temat, wręcz na osobną rozmowę, więc dodam krótko: wolę trzymać się Ziemi.

JPP: **Rozmawiając z autorem rubryki „muzyka-fantastyka-fantazja” – nie sposób nie porozmawiać o muzyce. To z kolei nie jest mój świat. Nie mogę powiedzieć, bym muzyki nie lubił – ale nigdy nie była ona dla mnie „najważniejszą ze sztuk”. Może na skutek absolutnie „dębowego ucha”**

zawsze ważniejsze były dla mnie literatura i film. Pamiętam, że – gdy się poznaliśmy niewiele po maturze – nie trawiłeś jeszcze nawet jazzu (ja zresztą też nie). Byłeś na etapie fascynacji Beatlesami i muzyką lat sześćdziesiątych. Opowiedz o swoich kolejnych odkryciach i fascynacjach muzycznych.

AH: Jaśku, „dębowe” to bywa jedynie piwo, a każdy człowiek w jakimś tam stopniu słucha muzyki. Ty też masz swoje muzyczne upodobania – ba, fascynacje nawet – więc nie bądź taki skromny. W tym miejscu jednak nie mogę nie wspomnieć naszego wspólnego Kolegi, którego, niestety, już z nami nie ma – Marka Górnisiewicza. Bo poza tym, że miał wielki talent plastyczny, to Marek był równie wielkim znawcą muzyki i niezrównanym melomanem. Jego sekret polegał na tym, że miał niesamowitego „czuja” do muzyki. I to właśnie On mnie przestawił na właściwe tory, wprowadził w nieznan mi wtedy świat jazzu, bluesa i muzyki ponad podziałami spod znaku Hendrixa (to był Jego idol), Chicka Corei, Franka Zappy, grup Mahavishnu Orchestra i Focus czy prawdziwego jamajskiego reggae Eek-A-Mouse’a i Twinkle Brothers. Słuchaliśmy genialnego skrzypka jazzowego Zbigniewa Seiferta, Ryśka Skibińskiego i gitarzysty Marka Bliźnińskiego. Dziś żadnego z nich już nie ma, a wtedy byli dla mnie objawieniem. To była muzyka szalenie emocjonalna, pełna wyrazu i wewnętrznej prawdy. Nieznany mi świat, którego istnienia nawet nie przeczuwałem. Był to czas stanu wojennego: za oknami patrole milicji, szarość i niepewność jutra, nakazowo-zakazowy system bytowania – a tu, przy reliktach z epoki („Bałtycka” i „Vistula” – zaiste mikstury o fantastycznej proveniencji), taka muza na przekór temu co za oknem. Z ekspresją wkraczaliśmy w ów tajemniczy świat dźwięków, piękny i bogaty. A słuchaliśmy tak głośno, że pod sam strych niosło Markowego „szpulaka” (a mieszkał w suterenie!). Ech, *to se ne vrati...* W każdym razie Markowi zawdzięczam ukształtowanie i wyczulenie mojego muzycznego gustu. Reszta przyszła już z czasem sama. Bo jeśli ktoś raz nauczy się pływać i poczuje, że woda go niesie, już nic go nie zatrzyma – prędzej czy później popłynie szukać nowych brzegów. To jest nieuniknione.

JPP: Teraz piszesz głównie o tzw. „muzyce poważnej”. Muzyce, która u przeciętnego słuchacza często wywołuje gęsią skórę, i to na samą myśl. A jednocześnie wiem, że nie jesteś żadnym snobem – i Twoja fascynacja klasyką jest szczerą. Czy mniej wyrobionym czytelnikom radzisz słuchać takiej muzyki trochę na siłę, czy zalecasz raczej stopniowe i naturalne dojrzewanie do kolejnych form?

AH: Ja osłuchanie z klasyką wyniosłem z domu, więc miałem punkt zaczepienia. To siedzi we mnie od dzieciństwa. Na siłę nic się nie robi, bo i efekty wyjdą na siłę. Lecz jeśli ktoś ma wewnętrzną potrzebę (to warunek) i właśnie w klasyce szuka czegoś dla siebie – to metoda prób i błędów, prędzej czy później, sam znajdzie. Z książkami czy filmami jest podobnie: tak długo szukasz autorów czy reżyserów, którzy nadają na Twoich falach, aż w końcu na nich trafisz. Rzecz jasna to wymaga czasu. Ja na „mojego” Szymanowskiego, a z czasem i Karłowicza, trafiłem po latach słuchania po omacku, nawet specjalnie nie szukając. Oni sami do mnie przyszli, dzięki fascynacji Tatrami i wszystkiemu, co z nimi się wiąże. Także i muzyka góralska. Nieźle, co? Przez góry dojść do muzyki – czyż to nie jest irracjonalne? A Ty mi mówisz, że nie ma we mnie fantastyki. Jest – tylko i n n a. Ale dzięki temu Czwarta Symfonia Szymanowskiego stała się „moją” muzyką do tego stopnia, że słucham jej sobie do poduszki. Ponadto poszukiwania zawsze podpieram lekturą, bo praktyka bez potrzebnej wiedzy, zwłaszcza w muzyce, jest ślepą uliczką. Doprowadzi Cię jedynie do pewnego miejsca, a to będzie mur, którego już nie przeskoczysz.

JPP: Nie pytam, jak trafiłeś w okolice GKF-u. Nie pytam, bom ja to, nie chwając się, sprawił. Nie zapytam Cię też (jak zapytałem swego czasu AdaMa), kiedy zostaniesz członkiem GKF-u (i wcale tego od Ciebie nie wymagam!). Zapytam o coś innego: jak odnajdujesz siebie i swe teksty w periodyku

fanów SF/F/H? I na czym polega, według Ciebie, owa fantastyczność w muzyce?

AH: Czuję się tu jak ryba w wodzie – i nie jest to kurtuazja względem Przyjaciela. Kiedyś powiedziałeś, że fantastyczne ujęcie tematu ogranicza mnie w pisaniu o muzyce. Wręcz przeciwnie! Pisanie o muzyce „ogólnie” jest pisaniem o niczym. Od tego są encyklopedie. A, ku memu zaskoczeniu, wzajemne odniesienia muzyczno-fantastyczne okazały się nie tematem na jeden tekst, jak początkowo myślałem, a wręcz ramą spinającą całość szerszego zagadnienia. Dla mnie fantastyka ma dość szeroki zakres znaczeniowy: wszystko co nierzeczywiste, z pogranicza jawy i snu, irracjonalne, metafizyczne – już nią jest. A cała Sztuka jest przecież metafizyczna, muzyka zaś najbardziej ze wszystkich jej dziedzin. Bohdan Pociąg, muzykolog, autor szalenie ciekawych i oryginalnych esejów na ten temat, w jednej ze swoich książek napisał, że muzyka bez metafizyki jest pusta, metafizyka bez muzyki jest ślepa (cytuję z pamięci). Muzykę z fantastyką łączy więc na śmierć i życie. Jedno zawiera się w drugim – i to na wielu poziomach, w wielu aspektach: od baśniowych librett oper po metafizykę formy. Co bowiem sprawia, że utwór muzyczny jest zrozumiały bez względu na rasę, narodowość i kulturę? A dlaczego Japończycy uważają Chopina za swego narodowego twórcę? O tym właśnie staram się w moich tekstach opowiadać. Z jakim skutkiem – to już inna sprawa; wiem, że pewnie niejeden rasowy muzykolog uduśliłby mnie z rozkoszą, gdyby poznał moje muzyczne wizje i mój sposób patrzenia na dźwięki. Wszak teoria muzyki jest chwilami czystą matematyką, a ja patrzę na świat oczami człowieka słowa, oceniając większość zjawisk na sposób epicki, jak humanista. To chyba naturalne?

JPP: Co byś chciał powiedzieć o swoich – szeroko pojętych: literatura, film, etc. – pozamuzycznych fascynacjach artystycznych?

AH: O la, la! Gadalibyśmy chyba do rana, jak za starych, dobrych czasów. Ale krótko mówiąc, z dziedziny filmu lubię klasyczne polskie kino z lat 60. i 70.: Wajda, Has, Kawalerowicz (z czasów „Pociągu”, „Matki Joanny od Aniołów” i „Austerii”) oraz cały ten okres. Urzeka mnie kino z tzw. klimatem: wolna akcja, głębia treści, piękne zdjęcia, czyli Fellini, Bergman, Herzog, Kieślowski, Kolski. Z literaturą jest podobnie. Po uszy tkwię w nieco niedzisiejszym stylu narracji (Dostojewski, Kafka, Mann, ale i Witkacy), choć i dziś niejeden film czy powieść potrafią mnie mile zaskoczyć: ulotny Huelle, magiczny Marquez czy Grass. Czytam jak szalony. A z malarzy działa na mnie Breughel. Kurcze, wyszło na to, że fantastyka mnie wręcz otacza, a ja nic o tym nie wiem! Zupełnie jak pan Jourdain z Moliera, który całe życie mówił prozą, choć o tym nie wiedział...©

JPP: Czym jeszcze chciałbyś podzielić się z Czytelnikami „Informatora”?

AH: Chyba tylko tym, by się nie bali manifestować własnych „zainteresowań” – nawet kiedy idzie to pod prąd panującej modzie. Tak sobie w tej chwili pomyślałem, że gdybym nie miał w sobie tej odwagi, nigdy bym nie napisał żadnego tekstu o muzyce. Bo kto to przeczyta?...

JPP: Pisz, pisz dalej! A na razie - dziękuję za rozmowę.



Sturmvogel, Romans Górniego Świata

(Andrzej Łazarczuk „Sturmvogel”, Fabryka Słów 2007)



II wojna światowa zbliża się do końca. O jej losach mogą zdecydować nie tylko rezultaty starć wrogich armii, ale również operacje wyspecjalizowanych tajnych organizacji o charakterze wywiadowczym: hitlerowskiej „Pochodni”, do której należy tytułowy bohater, i amerykańskiej komórki generała Donovana, wspieranej przez tajemniczego i potężnego Rosjanina, jedyne go ocalałego z pogromu współpracownika Specwydziału NKWD. Poznajemy dowódców, oficerów operacyjnych, szpiegów, donosicieli i zdrajców – pracujących dla każdej ze stron. I tu zaczyna się fantastyka: agenci wrogich mocarstw działają na dwóch poziomach, w dwóch światach, Dolnym i Górnym, przemieszczając się między nimi niemalże z łatwością urzędników jadących windą biurowca. Autor wprost wyjaśnia czytelnikowi, że „Góra” jest pojęciem względnym, chodzi bowiem nie o świat sąsiedni, lecz wewnętrzny względem naszego. Nieprzypadkowo zdolność przenikania do niego posiadają wyłącznie osoby o specyficznych cechach psychiki. Zdawać by się mogło, że tego rodzaju miejsce powinno stanowić prywatną strefę każdego człowieka, ale tu bohaterowie mogą spotykać się i współpracować – lub walczyć – w innych realiach geograficznych, a nawet w innej postaci. Posiadają dwa ciała – górne i dolne – i w kontrolowany sposób przemieszczają osobowość między nimi, pozostawiając jedno z ciał funkcjonujące niejako na autopilocie.

Geografia Świata Góry jest stosunkowo prosta: całą jego powierzchnię zajmuje Salem, gród stanowiący mozaikę fragmentów „dolnych” miast i uzupełniony fantastycznymi tworam, mającymi symbolizować narodowe enklawy, jak żydowski Abadon czy germański Isenstein. Mieszkańcy Góry stanowią mieszaninę postaci rodem ze wszelkich możliwych wątków literatury fantasy. Są tu widma, potworne pająki, kobiece wężopodobne istoty o wciąż niezaspokojonym popędie seksualnym, jednorożce z ich tradycyjną słabością do dziewic, latające smoki bojowe. Są też tajemniczy Magowie i aluzje do udziału Obcych w powstaniu tego świata.

Znalezione w internecie zapowiedzi książki przedstawiają Górę jako mityczny Raj, miejsce, do którego zwyczajny śmiertelnik spodziewa się trafić po śmierci. Ale sam Autor weryfikuje tę teorię, wyjaśniając, że owszem, taką złudną nadzieję żywią ci, którzy widują Górę jedynie w snach, zaś ludzie, dla których Górny Świat jest miejscem pracy, walki czy po prostu równoległego życia, nie wyznają już żadnej religii, nie są w stanie nawet normalnie śnić. Wszystko, co dla nas pozostaje w sferze wierzeń czy wyobraźni, oni mają wokół siebie na co dzień, całkowicie realne, a często śmiertelnie niebezpieczne.

Niestety ta fantastyczna kraina może wkrótce stać się nowym teatrem wojny. Zdaniem wszystkich stron Góra świetnie nadaje się zarówno na punkt kontaktowy szpiegów, jak i na miejsce tajnych rokowań pokojowych na najwyższym szczeblu. Główny bohater jest lojalnym wobec Rzeszy oficerem wywiadu, dopóki nie dowiaduje się, że Salem w obecnym kształcie zostało spisane na straty przez wszystkie strony konfliktu. Amerykański wywiad planuje zamach na uczestników negocjacji, godząc się z faktem, że konsekwencją będzie przeniesienie walk na Górę i zniszczenie miasta. Zaś przegrywający wojnę Niemcy popierają planowany zamach, mając nadzieję, że zmiana sytuacji zapewni im zwycięstwo, a następnie umożliwi przekształcenie Salem we wzorcowy germański gród według projektu Speera.

Sporym utrudnieniem w odbiorze powieści był dla mnie zaburzony tok narracji, „skaczącej” pomiędzy licznymi miejscami akcji na tyle często, że kilkakrotnie w trakcie lektury traciłam orientację, gdzie też wraz z bohaterami obecnie przebywam: na Górze czy może na Dole? Sporo intrygujących scen i motywów jedynie przemyka w tle głównych wydarzeń, bez satysfakcjonującego czytelnika objaśnienia czy rozwinięcia. Trudno osądzić, czy Autor po prostu zrezygnował z jeszcze większego spiętrzenia i komplikowania wystarczająco już „zakręconej” akcji, czy też świadomie pozostawił czytelnikowi możliwość dopowiedzenia we własnej wyobraźni tego, czego zabrakło w książce.

Finału powieści oczywiście nie należy zdradzać, wspomnę tylko, że jest on okraszony perełką, która wywołała u mnie atak konwulsyjnej wesołości – pojawieniem się kultowej dla Rosjan, a nam kojarzącej się głównie z głupawymi kalamburowymi dowcipami, postaci wojennego superszpiega – standartenfuhrera Stirlitza...

KGK

Hanna Krall
Tam już nie ma żadnej rzeki
 Kraków 1998
 wydawnictwo „a5”



BOLESNA NIEOBECNOŚĆ

W jaki sposób pisać o Holocaustcie? Fabularyzować, by dzięki środkom literackim przybliżyć czas zagłady? Czy może łączyć beletrystykę z żywiołem reportażu? Niezależnie od obranej strategii dominuje w refleksji nad tym bolesnym i wciąż żywym tematem próba spojrzenia na Holocaust w sposób subiektywny, przez pryzmat przeżyć jednostki. Zagłada to doświadczenie zbyt traumatyczne, by można było pokusić się o jego obiektywizację nawet dziś, ponad pół wieku po Oświęcimiu i Treblince.

Hanna Krall należy do tych pisarek, których twórczość nieomal od początku związana była z dawaniem świadectwa w imieniu pomordowanych. Temu też poświęcony jest jej tom utworów *Tam już nie ma żadnej rzeki*. Czym są pomieszczone w nim zapiski z perspektywy genologicznej? Najłatwiej byłoby przyporządkować je do kręgu literatury faktu. Od reportażu (w jego klasycznej postaci) różni utwory Krallowej wprowadzenie elementu fabularyzacji. Zabieg ten nie jest oryginalny – w najnowszej prozie można byłoby wskazać go w *Zapiskach z nocnych dyżurów* Jacka Baczaka. Nie należy jednakże owych paraleli rozciągać – trudno bowiem reportaż (użyjmy tego określenia umownie, bez przyporządkowywania – jak na razie – genologicznego) Krallowej określić mianem medytacyjnych tak, jak dzieje się w przypadku zapisków Baczaka. Krallowa nie próbuje się zdystansować do opisywanych sytuacji. Przeciwnie: przybliża nie tylko realia sytuacyjne, lecz również (a może przede wszystkim?) towarzyszące im emocje. Czy – w związku z podejmowaną problematyką – można utwory zebrane w tomie *Tam już nie ma żadnej rzeki* określić mianem **reportażu**

tanatologicznego? Określenie to, jakkolwiek może wydawać się kuriozalne, chyba w sposób najbardziej adekwatny oddaje atmosferę towarzyszącą lekturze utworów Hanny Krall. Tym bowiem, co uderza w sposób szczególny w zbiorze, jest panujący w opowieściach żywioł śmierci. Podkreślać to może refrenicznie powtarzany zwrot inicjujący niektóre zwierzenia: *opowiedzcie mi coś* (np. s. 5, 29). Niejednorodna jest też wykorzystywana sytuacja narracyjna: opowieści szkatułkowej towarzyszy narracja ocalałego, bądź obserwatora. Dla Hanny Krall (tu kontekstem może służyć *Zagłada* oraz *Zmierzchy i poranki* Piotra Szewca, bądź *Hanneman* Stefana Chwina) równie istotny jest los człowieka, co jego wytworów. Lalka ze *Spisu rzeczy* to bohater równorzędny z opowiadającą jej dzieje właścicielką. Los ludzki i przedmiotów łączy się mistyczna nicią, podobnie jak dzieje ofiar i katów. Krallowej nie interesują narodowe resentymenty. W tym celu ogranicza wybór bohaterów do postaci z kręgu kultury żydowskiej. Tematem – obsesją, panującym na kartach tomu Krallowej jest zagłada kultury żydowskiej i pustka, jaka po niej została. Symbolicznym ujęciem dojmującej straty jest tytuł zbioru, zaczerpnięty z jednego z zamieszczonych w nim utworów, *Prawnuka*.

Bezmiar straty pogłębia świadomość jej nieodwracalności, przy jednoczesnych próbach cofnięcia czasu i zdarzeń. Samoświadomość fikcji jest zarazem taką próbą powrotu do przeszłości w przypadku bohaterki *Teatru*. Po przedstawieniu aktorzy pozostają w kostiumach, w których odgrywali role żydowskich kupców, a chociaż kierowniczką muzeum *rozumiała (...), że to tylko przebrany właściciel sklepu z dziećmi i żoną, (...) i jej zdawało się, że prawdziwi, dawni Żydzi wrócili do miasta* (*Teatr*, s. 40). Tylko w marzeniach w fikcyjnej przestrzeni spektaklu teatralnego *Żydzi wracają do Tykocina (...). zła moc przegrywa w walce z dobrem* (*Teatr*, s. 49).

Zebrane przez Krallową historie losów polskich Żydów, choć zanotowane w różnych miastach świata, łączy sygnalizowane powyżej uprzednio poczucie starty – tam, gdzie nie ma już żadnej rzeki, nie ma również tętniących życiem osad współtworzących krajobraz przedwojennej Polski. Żydzi, choć przetrwali w pamięci i literaturze (by wspomnieć podniosłą i porażającą zarazem *Pieśń o zamordowanym narodzie żydowskim* Ichaka Kacnelsona) odeszli ze świadomości powojennych pokoleń, nie zdających sobie sprawy z odniesionej straty. Pozostały po nich jedynie reportaże i poczucie bolesnej nieobecności, niepowetowanej straty. Niewiele, a zarazem to wszystko.

Adam Mazurkiewicz



KSIĄŻKA, KTÓREJ NIKT NIE PRZECZYTAŁ?

To będzie historia dwóch podróży. Bez pierwszej prawdopodobnie nie byłoby drugiej; a już na pewno nie byłaby ona tym, czym była. To wszystko brzmi tajemniczo i zagmatwanie – tym bardziej, że Kosmos był mi od zawsze daleki i obcy, choćby ze względu na wrodzony wstręt polonisty do świata cyfr i liczb i ich sekretnych wzajemnych zależności.

Podróż numer jeden. Czas akcji: lato tego roku. Miejsce akcji? O tym za chwilę, poczekajcie, niech dojadę. Postanowiliśmy w tym roku z Żoną, że w te wakacje m.in. spełni się jedno z moich „odwiecznych” pragnień i odwiedzimy wreszcie Frombork. Aż dziw, ale byłem tam ostatni (i jak dotąd jedyny) raz w wieku bodaj dwunastu lat – więc tak, jakbym nie był w ogóle. Pamiętam tylko, że było paskudnie zimno. Musiał ciągnąć wiatr od wody. A zatem od słów przeszliśmy do czynów i w pewien piękny sierpniowy dzień nasz cudowny wehikuł czasu, w postaci czerwonego Cienkosia, poniósł nas rąco ku północno-wschodnim rubieżom Rzeczypospolitej. Do Elbląga droga koszar – Formuła 1 to przy tym pikuś. Wszyscy na szosie uparli się, by pozabijając się nawzajem i swój plan z fantazją wcielali w życie; musiałem nieźle się napocić, by pokrzyżować im te miłe wakacyjne plany. Za to za Elblągiem, jak za dotknięciem magicznej różdżki, zupełnie jakby się wkraczało w granice innego świata. Cudo! Cień lasów i złoto pól, cicho i pusto jak wymiółt – nikogutko – szybko i bez przeszkód pomknęliśmy naprzód. W pewnym momencie samochód wyszedł z zakrętu, a zza ściany lasu, po prawej stronie, „na pagórku niewielkim”, wyrósł nagle potężny masyw gotyckiej katedry. Robi wrażenie. Dreszcz przeszedł mi po plecach. A więc dotarłem tu, gdzie Słońce stanęło w miejscu, a Ziemia ruszyła w drogę. Co za uczucie! Coś wisało w powietrzu. Wrażenie niezwykłości potęgowała dodatkowo panująca cisza; dziwne, ale turystów jak na lekarstwo, pełna kulturka, ani śladu rozwrzeszczanej kolonijnej dzieciarni pchającej się do stoiska z frytkami – nic, cisza. Tylko kolos katedry od wieków obojętny na wszystko. Ogrom.



Poszliśmy nad Zalew. Znowu mocno wiało; widać tu po prostu zawsze wieje. Byłem w stanie ekscytacji, bo pomyślałem, że ten wiatr, który aż przenikał mi przez bluzę, tak samo zimnym powiewem musiał targać fryzurę fromborskiego Kanonika. Może i on tak stał, jak my teraz stoimy, kiedy gapiąc się na drugi brzeg Zalewu Wiślano obalał w myślach stary system? Na każdym kroku tajemnica. Stoimy twarzą w twarz z Historią, to się czuje! Byłem coraz bliżej tego człowieka, który do tej pory wydawał mi się jakimś dalekim, martwym,

wyciętym z kart szkolnego podręcznika pojęciem. Tam zobaczyłem go wyraźnie: żywą osobę z krwi i kości.

Kiedy weszliśmy do katedry i, po krótkim koncercie organowym (a jakżeby inaczej?), w prawej nawie u stóp ołtarza św. Krzyża (wówczas św. Andrzeja) stanęliśmy na płycie posadzki, pod którą przypuszczalnie spoczywał. Znowu poczułem

dreszcz. Wprawdzie nie wiadomo na sto procent, czy ten, kto tam leży, to naprawdę On – wiek biologiczny, budowa czaszki i czas zgonu niby pasują, lecz dopiero porównanie DNA z DNA jego wuja, Łukasza Watzenrode, ostatecznie rozwieje wątpliwości. Sęk w tym, że szczątków wuja... dotąd nie odnaleziono. Zagadka pozostanie więc zagadką jeszcze przez czas jakiś, bo nikt za bardzo nie wie, gdzie ich szukać.

Potem zwiedziliśmy muzeum katedralne, m.in. z kopią obrazu Matejki „Kopernik. Rozmowa z Bogiem” i fotokopiami rękopisów, z pierwszą stroną „O obrotach” włącznie. Dalej wieża widokowa i Wieża Kopernika. Dom astronoma znajdował się w mieście (dziś nie ma po nim śladu) i właśnie dlatego wykupił na własność wieżę (najwyższy wówczas element murów), by w razie krzyżackiej napaści ukryć tam cały dobytek, naukowy przede wszystkim. Tam też, na górnej kondygnacji, nocami wpatrzony w niebo – „rozmawiał z Bogiem”.



Zawsze fascynował mnie ów obraz Matejki. Choć, jak większość jego wizji historii, jest fantazją – mistrz nigdy w Fromborku nie był – przykuwa uwagę twarz Kopernika. Czy tak wyglądała wtedy, gdy odkrył jedną z największych tajemnic Wszechświata? Co wyraża? Lęk, szaleństwo, czy zasłuchanie właśnie w „głos Boga”? Tej tajemnicy nigdy już nie poznamy.

Podróż numer dwa. „Książka, której nikt nie przeczytał” amerykańskiego astrofizyka, Owena Gingericha. Prowokacja zawarta w tytule jest cytatem z innej książki poświęconej m.in. Kopernikowi, a zarazem tezą, którą autor chce bardziej obalić niż potwierdzić. Z pasją godną Sherlocka Holmesa prawie przez 30 lat śledził koleje losu bez mała 600 starodruków „De revolutionibus”, głównie pierwszego wydania z 1543 roku (Norymberga) i drugiego z 1566 (Bazylea) – a ta książka jest zapisem jego śledztwa. Autor pomija przy tym dziewicze, czyste, nie noszące żadnego śladu lektury, gorączkowo natomiast studiuje egzemplarze gęsto pokryte notatkami, uwagami i głosami właścicieli. Wnioski z tej detektywistycznej, mrówczej pracy są zaskakująco ciekawe i pobudziły moją wyobraźnię, stając się kolejnym pretekstem do podróży w czasie. Nie myślałem, że już w parę tygodni po pierwszej wyprawie do świata genialnego astronoma przyjdzie mi tak szybko tam wrócić. Już choćby sam początek książki Gingericha: Frombork, rok 1543. Kopernik leży na łożu śmierci, gdy z Norymbergi przybywa Joachim Retyk, jedyny uczeń Mistrza i wkłada mu w dłoń „jeszcze ciepły” egzemplarz „De revolutionibus”. Sam Kopernik nie bardzo jest już świadom, co się wokół niego dzieje, ale wodzi dłonią po okładce grubej księgi.

Czym jest książka Gingericha? Na pewno jest efektownym reportażem, pozwalającym czytelnikowi podążać za autorem w poszukiwaniu kolejnych egzemplarzy epokowego dzieła, zerkać mu przez ramię na bezcenne starodruki i towarzyszyć przy kolejnych odkryciach. W rezultacie tych odkryć autor dotarł bodaj do wszystkich egzemplarzy zachowanych do dziś i sporządził monumentalny An Annotated Census of Copernicus – spis właścicieli pierwszych dwóch wydań „O obrotach”. I już we Wstępie zadaje sobie pytanie: kim byli posiadacze „takiej” książki – po czym sam sobie odpowiada: to święci, heretycy, nicponie, muzycy, filmowe gwiazdy, lekarze i maniakalni bibliofile, by o astronomach już nie wspominać.

Nie ma sensu streszczać dość skomplikowanej drogi badawczej autora na aukcjach, w bibliotekach, antykwariatach, po muzeach czy w zamkach bogatych snobów, dla kaprysu kupujących księgę Kopernika. Warto natomiast zatrzymać się przy tym, co czuje ktoś, kto w zbiorach biblioteki UJ bada rękopis takiego dzieła; a jakby tego było mało – na jednej z kart odkrywa... atramentowy odcisk kciuka

Autora. Równie niezwykły jest epizod z odkryciem rękopisu Kopernika „Commentariolus” (Zarysu). Jest to niepublikowane, wstępne ujęcie jego *opus magnum*, parę kart skopiowanych ręcznie w kilku zaledwie egzemplarzach. I oto nagle, w połowie lat 60. ub. wieku, egzemplarz „O obrotach”, będący w posiadaniu uniwersytetu w Aberdeen w Szkocji, odsłania doklejone w środku karty jakiegoś rękopisu. Jakiego? To był właśnie Zarys, złożony jeszcze w XVI wieku wraz z dziełem głównym polskiego astronoma. Trzeci istniejący dziś na świecie egzemplarz! A więc „O obrotach” jednak czytano i to dość dokładnie.



Gingerich bada recepcję myśli Kopernika na przestrzeni wieków – i dochodzi czasem do zabawnych wniosków. Odkrył np., że Giordano Bruno, notabene spalony na stosie m.in. za głoszenie poglądów Kopernika, nigdy jego książki nie przeczytał. Owszem, posiadał ją w swych zbiorach, świadczy o tym zamasyty autograf na stronie tytułowej, znał głównie tezy, lecz dalsze karty książki są zdumiewająco czyste, nie tknięte śladem jakiegokolwiek lektury!

Na koniec ciekawostka. Oto bowiem Kopernik, ksiądz w końcu, zapisał m.in. taką myśl po dokonaniu swego wielkiego odkrycia: „Zaprawdę ogromne jest to boskie arcydzieło Istoty Najlepszej i Największej”. I kler mu nie uwierzył! Bynajmniej nie w sens odkrycia – lecz w to, że człowiek może odkryć myśli Boga. I kazano katolickim czytelnikom usuwać to zdanie z książ.

I usuwali...

Habas

Na tropie Hardkora

Film „Małpy w kosmosie”, jak sama nazwa wskazuje, opowiada o małpach w kosmosie. Kiedy w dalekiej przestrzeni ginie wysłana przez ludzi sonda, NASA staje przed dylematem, czy wysłać w jej poszukiwaniu misję ratunkową. Rozwiązaniem są wykorzystywane w eksperymentach małpy, które udają się na planetę Malgor. Odkrywają, że jest ona rządzona przez złowrogiego tyrana Hardkora, który przywłaszczył wielofunkcyjną sondę i za jej pomocą zagania najrozmaitsze sympatyczne istoty do niewolniczej pracy. Dalszy przebieg akcji jest przewidywalny. Dzielni bohaterowie spotykają biednych i uciśnionych, głupi i kłótlivi uczą się, że ważna jest przyjaźń, a dobro musi stanąć do walki ze złem.



Jest to prościutki, ale bardzo sympatyczny filmik. Historia w sam raz dla mniejszych dzieci, sprawnie obmyślona i zaplanowana, z wyrazistym podziałem na dobre i czarne charaktery, no i oczywiście z morałem. Warto zwrócić uwagę na świetny polski dubbing, w szczególności na przemile zaczągająca z rosyjska Joanną Kurowską. Nie jest to dzieło wiekopomne, o któ-rym będzie się pamiętać dłużej niż pół godziny po wyjściu z kina, ale i tak jest to miła i przyjemna lektura.



MJS

Małpy w kosmosie (Space Chimps), USA 2008. Reżyseria: Kirk De Micco. Scenariusz: Simon Goltsman, Kirk De Micco, David Goetsch, Jason Venokur, Ross Venokur. Zdjęcia: Jericca Cleland. Muzyka: David A. Stewart i Blue Man Group. Polski dubbing: Marcin Hycnar, Grzegorz Pawlak, Kamilla Baar, Miłogost Reczek, Piotr Machalica Dominika Kluźniak, Bartosz Obuchowicz, Andrzej Grabowski, Jacek Fedorowicz, Joanna Kurowska, Adrianna Biedrzyńska i inni.



Jumping jako sport ekstremalny

Od dość dawna daje o sobie znać jedynie słuszna tendencja, żeby nie tłumaczyć tytułów filmów na polski. Kiedy w latach osiemdziesiątych zmieniono *Terminatora* w *Elektronicznego mordercę*, a *Robocopa* w *Superglinę*, nie dało się jakoś tego utrzymać przy kontynuacjach, a z *Predatorem* od początku nikt nie próbował takich sztuczek (no, niechby tylko...). Najgorzej chyba wyszło z serią *Die Hard* - tytuł *Szklana pułapka* pasował tylko do pierwszej części, ale trzymano się go kurczowo z niepojętych powodów (natomiast tłumaczenie tytułu parodii *Spy Hard* jako *Szklanką po łapkach* jest prawdziwym majstersztykiem). Dalej poszło już z górką: *Jurassic Park*, *Indiana Jones*, *2010...* przepraszam, chyba się trochę zapędziłem. Natomiast faktem jest, że w dzisiejszych oświeconych czasach, kiedy byle pętaek wysławia się na murach w języku Szekspira (no, prawie...), potrzeba tłumaczenia jak gdyby zanikła, o czym świadczą na przykład filmy: *Impostor*, *Tomb Raider*, *The Ring*, *Dark Water*, *Cube*, *Dog Soldiers*, *Resident Evil* oraz temat tego szkicu - *Jumper*.

Moim pierwszym kontaktem z tym filmem, niezbyt zachęcającym, było jego omówienie w *Nowej Fantastyce*. Recenzent, którego nazwiska nie pomnę, był tak wściekły na ekranizację, że przyznał jej, zupełnie bez precedensu, całe zero punktów. Później wydano u nas powieść *Jumper* Stevena Goulda, którą nabyłem, co chyba w tej sytuacji zrozumiałe, z mieszanymi uczuciami. Niepotrzebnie jednak, bo książka okazała się bardzo dobra. Kiedy więc ukazała się płyta DVD z filmem, kupiłem ją w promocji bez większych zahamowań. I znowu miła niespodzianka: było o wiele lepiej, niż sobie to wyimaginowałem na podstawie dostępnych danych - dlatego właśnie dokładam do nich swoje trzy grosze.

W jednym z dodatków na wspomnianej płycie, *Jumping from Novel to Film*, autor książki tak podsumowuje jej przesłanie: *Powieść Jumper jest o teleportacji jako metaforze ucieczki. Ucieczki przed własnymi problemami, i tak naprawdę, dochodzeniu do punktu, gdy musisz uświadomić sobie, że rzeczą, przed którą nie możesz uciec, jesteś ty sam.* Rzeczywiście, książka jest przede wszystkim introspektywna, a więc, mimo tkwiącego w niej potencjału, zupełnie nie filmowa. Trudno się zatem dziwić, że ekranizacja trzyma się zupełnie innych założeń. W powieści ważna jest refleksja i stopniowe odkrywanie tajemnicy, w filmie widowiskowość i szybka akcja; myślę, że nie ma w tym sprzeczności, lecz raczej komplementarność. Jak powiedział jeden z twórców ekranizacji: *To historia Stevena Goulda w 100%. Została jedynie zamieniona na film.*

Można mieć co do tego wątpliwości, gdyż są dwie podstawowe różnice pomiędzy światami książki i filmu. Po pierwsze, w powieści Dave, tytułowy teleportujący się Skoczek, jest samotny i bezskutecznie szuka sobie podobnych. W filmie natomiast znajduje ich dość szybko, co gorsza, zostaje odkryty przez grupę fanatyków (*paladynów*), którzy czynnie dążą do tego, żeby czym prędzej wyskoczył ze swej cielesnej powłoki (*bo człowiek nie jest Bogiem*), co w dzisiejszych ześwirowanych czasach wydaje się nie odbiegać od normy. Książkowy *Jumper* ma natomiast trudności zupełnie innego rodzaju: może się teleportować tylko do miejsca, gdzie już był uprzednio, lub przynajmniej takiego, które dobrze widzi ze swej aktualnej pozycji. Dlatego rozwój jego możliwości jest powolny i pracochłonny, w przeciwieństwie do filmowego skoczka, któremu wystarczy byle widokówka, by znaleźć się tam, gdzie sobie zamarzy. Wszystko zgodnie z nieubłaganymi prawami narracji Dziesiątej Muzy.

Film jest odkrywczy pod względem wizualnym - i nie mam tu wcale na myśli ładnych widoków z całego świata. Trzeba było wymyślić, jak przedstawić skok teleportacyjny z pozycji widza, czego w ten sposób jeszcze nie robiono. Nie liczę tu bowiem banalnych tricków w rodzaju *jest - nie ma*, jak w serialu *Star Trek*, gdzie

wprowadzono teleportację ze względu na niski budżet. Chodzi na przykład o to, że zniknięcie człowieka z jakiegoś miejsca powinno powodować implozję, a także, rzecz jasna, zaburzenie struktury czasoprzestrzeni. Efekty, które zaprezentowano, wydały mi się z początku przesadne, lecz po namyśle uznałem, że są odpowiednie, a moje opory to po prostu *syndrom Star Treku*. W jednym z epizodów zaprezentowano walkę *jumparów*, która, jak łatwo zgadnąć, obfitowała w skoki za plecy przeciwnika i temu podobne sztuczki. Aby nakręcić to w jednym ujęciu, trzeba było zsynchronizować na planie akcję aktorów i ich sześciu dublerów, a następnie w postprodukcji wymazać większość postaci. Jeśli scena ta przejdzie do historii filmu, proszę pamiętać, że ja pierwszy to zapowiedziałem.

Twórcy *Jumpera* zgromadzili pomysły aż na trzy filmy, Steven Gould napisał także dwie kontynuacje swojej książki (*Reflex* oraz *Jumper: Griffin's Story*). Związek tych ciągów dalszych ze sobą nie jest dla mnie jasny, dlatego oddaję głos autorowi powieści, któremu różnice zdają się zupełnie nie przeszkadzać. Oto, co mówi we wspomnianym wyżej dodatku:

Dość wcześnie dowiedziałem się, że odbiegają dość znacznie od moich książek (...) Jest taki znany cytat, bodajże Caina, autora The Postman Always Rings Twice, który, gdy zapytano go: "Co Pan czuje widząc, jak Hollywood zniszczyło pańskie książki?" powiedział coś w rodzaju: "Moje książki stoją tam, na półce. Są dokładnie takie same, jak zawsze. Hollywood absolutnie nic z nimi nie zrobiło". Poza tym, i tego on sam już nie powiedział, ale jest to moje zdanie, że dziesiątki tysięcy, jeśli nie więcej, osób będzie je czytało po raz pierwszy dzięki temu filmowi, a to jest naprawdę fajne.

Moim zdaniem, *naprawdę fajna* jest i książka i film - i na tym poprzestaśmy.

Andrzej Prószyński

Steven Gould, *Jumper*, 1992 (przekład Andrzeja Wilkowskiego, Amber 2008)

Jumper (2008), scenariusz i produkcja: Simon Kinberg, reżyseria: Doug Liman, obsada: Hayden Christensen, Jamie Bell, Rachel Bilson, Samuel L. Jackson





„WOJNY KLONÓW”: NA DUŻYM EKRANIE - ALE W ANIMACJI

Tytuł: Star Wars: The Clone Wars

Produkcja: USA, 2008

Gatunek: Trójwymiarowe Gwiezdne Wojny

Dyrekcja: Dave Filoni z Flanelowcem

Za udział wzięli: Nick Furry, Saruman, Anthony Daniels i inni dubingowcy

O co chodzi: Filmy się skończyły, ale historię można pociągnąć jeszcze w odległej galaktyce

Jakie to jest: Najbardziej tajemniczy okres *Gwiezdných wojen* dostaje swoją drugą szansą trafienia do masowych odbiorców. Po bardzo mocno przerysowanej wersji sprzed około 4 lat w końcu trafia się dzieło „od fanów dla fanów, ale finansowane z pieniędzy Lucasa”.

Film miałem okazję obejrzeć w bardzo porządnie wyposażonym kinie w niewielkiej miejscowości Linköping (Szwecja). Podczas trailerów, reklam oraz jakichś testów dźwięków było słychać, że kino zainwestowało w naprawdę porządny sprzęt. Jak to się przełożyło na sam film – będziecie mogli przeczytać poniżej.

Zamiast żółtych napisów jesteśmy wprowadzani do filmu za pomocą narracji. Szybkie przebitki kilku obrazów pokazują, co się aktualnie dzieje w galaktyce – i dlaczego nasi bohaterowie muszą robić to, co robią. Tak jak zawsze w filmach z serii „Star Wars”, od razu zostajemy rzućni w wir wydarzeń: na Christophsis trwają ciężkie boje o każdy kawałek tej zurbanizowanej planety, syn Jabby zostaje porwany. Kto ma wyruszyć na ratunek? Oczywiście, banda Drombo (Obi-Wan i Anakin dla niekumatych). Co się dokładnie dzieje, nie ma oczywiście sensu pisać, ale sam film raczej nie zaskakuje w zbyt wielu momentach.

Największa zaleta filmu wypływa bezpośrednio z jego tytułu: są nią same klony. Wszystkie ujęcia z krewniakami małego Boby są wykonane perfekcyjnie. Pseudo-ujęcia z ręki, zachowanie klonów przed walką, w trakcie walki czy po niej zostało bardzo dobrze pokazane – i jest to główny powód, dla którego warto pójść na ten film na kina. Nie jest to przesadzony w niczym obraz, jak miało to miejsce w kreskówce Tartakovsky'ego: klony nie tylko umierają, ale również zdarza się im panikować; zresztą po kilku miesiącach wojny nabierają coraz więcej cech zwykłych ludzi.

Oglądanie ich przywódców nie jest już tak przyjemne. Dialogi Anakina i jego padawanki Asoki Tano wydają się robione jakby trochę na siłę, a ich wspólne pomysły mogą cieszyć część publiczności (mnie nie cieszyły). Anakin jako mentor wygląda dość dziwnie, ale może dostać kredyt zaufania, gdyż naprawdę stara się naśladować Obi-Wana i prawie mu to wychodzi. Sama postać Kenobiowego jest znacznie lepiej poprowadzona. Niestety, jego walka z użyciem miecza świetlnego całkowicie mnie zawiodła: jest bardzo dynamicznie zmontowana, ale wszechobecny chaos czyni ją dość nieczytelną. Bardziej podobać się może pojedynki w wykonaniu Anakina.

Jak na „Gwiezdne wojny” – stanowczo za mało jest scen w przestrzeni kosmicznej. Wymiana ognia pomiędzy ciężkimi jednostkami została, niestety, praktycznie całkowicie pominięta (prócz kilku sekund). Sytuację prawie ratują pojedynki myśliwców – ale, jak napisałem, „prawie”: mogłyby być zdecydowanie bardziej rozbudowane.

Ciężko osądzać wtórność pomysłów – kanonierka, którą ucieka Anakin wygląda jak B-wing; droidy wujasa Jabby to wcześniejsze wersje popularnego w Polsce IG-88; natomiast myśliwiec Obi-Wana wygląda dość dziwnie z przemieszonym gniazdem na astromecha. Ciekawe, czy ten wątek inżynierski zostanie pociągnięty dalej w serialu?

Największym mankamentem są zdecydowanie droidy. Tak głupie to one jeszcze nie były, do tego ich dowódca jest osobą zupełnie nie zasługującą na rangę generała! Oczywiście, podobać się nie ma prawa synalek Jabby – ale może dla co niektórych Rotta stanie się idolem (niczym najczarniejszy z Mrocznych Lordów, sam Exar Kun).

Młodzi filmowcy kręcący fanfilmy rozgrywające w świecie „Gwiezdných wojen” powinni brać przykład z Filoniego! Zamiast wałkować do upadłego kawałki Johna Williamsa – postawił na nieznanego wcześniej Kinera; i nie powiem, by odbiło się to niekorzystnie na filmie. Muzyka wybitna nie jest, nie zachwyca i nie porusza do głębi serc – ale pasuje do toczącej się akcji (a to jest w sumie najważniejsze w muzyce do filmu). Czy broni się sama bez obrazu – ja jeszcze nie sprawdzałem. Jeśli chodzi o efekty dźwiękowe, to niestety za wiele nie można napisać.

TCW nie są filmem, na który ma się ochotę wracać po raz kolejny do kina. Równie dobrze można go oglądać w domowym zaciszu w telewizorze, tudzież na monitorze.

Film jednak zaskakuje. I, o dziwo, bardzo pozytywnie. Podchodziłem do niego, oglądając kolejne trailery z wielkim sceptycyzmem, ale przyjemnie się rozczarowałem. Chociaż bilety do kina są u naszych północnych sąsiadów ultradrogie – warto było wydać te korony.

Ocena (1-5):

Klony: 5

Droidy: 2

Machajki: 4, choć trochę naciągane

Dogfights: 4

Fajność: 4

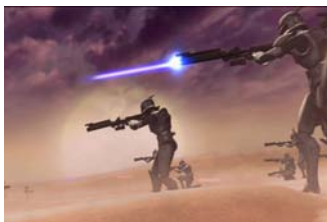
Cytat: Here they come!

Ciekawostka przyrodnicza: Oglądając film można się przekonać, że nie każda kobieta pojawiająca się w uniwersum ma prawo do pokazywania nóg. Oglądając striptease w wykonaniu panny Ventress – ma się ochotę wyjść z sali.

Ragnus

[www.zakazanaplaneta.pl]

[tytuł od redakcji INFO]



WYPRAWA TRZECIA

2

SZLAKIEM KACARÓW

15 sierpnia PROWANSJA

Hotelowe śniadanie w Szuflandii całkowicie odpowiada ogólnemu standardowi. Można było do woli wybierać między płatkami śniadaniowymi a kilkoma gatunkami pośledniejszych serów – wszystko pod bacznym i nieprzyjaznym okiem kierowniczkii hotelu. Istny raj dla odchudzających się osób (lub skarżących się na trzustkę).

Około ósmej wyruszamy z Awinionu w kierunku Moustiers-Sainte-Marie na podgórzu alpejskim. Miasteczko przyklepione do skały – jedna ulica główna (co nie znaczy, że szeroka – nasz autobus ledwie się w niej zmieścił) i kilkanaście malowniczych

zaułków. Wysoko, w skalnym wąwozie, widać kapliczkę. Silna grupa z Wojtkiem na czele natychmiast do niej wyrusza. Ja, wraz z żoną, Elą i Jarkiem robimy spacer wąskimi uliczkami, a później zasiadamy w restauracji na piwie. Do autobusu wracamy już w strugach deszczu.



DYGRESJA 2

Awiniońska niewola papieża, zwana również – przez analogię do Starego Testamentu – niewolą babilońską papieżstwa, okres rezydowania papieża w Awinionie w latach 1309-1377 (z przerwą 1367-1370) i uzależnienia papieżstwa od królów francuskich.

Tłem niewoli awiniońskiej był spór pomiędzy królem francuskim Filipem Pięknym, a papieżem Bonifacym VIII. Spór bezpośrednio dotyczył królewskiej decyzji opodatkowania dóbr kościelnych na rzecz wojny z Anglią, generalnie zaś wiązał się z dążeniem państw do wyzwolenia się spod zwierzchności Kościoła.

Na pretensje papieżstwa Filip odpowiedział represjami fiskalnymi, zabraniając m.in. wywozu kruszców, co wstrzymało płynące z Francji do Rzymu różnego typu opłaty na rzecz kurii.

Papież Klemens V (1305-1314), uległy Filipowi arcybiskup Bordeaux, wobec zaostrożających się w Państwie Kościelnym i Włoszech antyfeudalnych ruchów społecznych, pozostał we Francji pod bezpośrednią kontrolą swego protektora i pod jego naciskiem koronował się w Lyonie. W 1309 r. osiedlił się w Awinionie, podporządkowując politykę papieżstwa polityce Francji.

Element francuski zdobył w tym okresie przewagę w kolegium kardynalskim oraz kurii. W 1307 r. Klemens przeprowadził na żądanie króla francuskiego kasatę zakonu templariuszy. Następcy Klemensa odkupili w 1348 r. miasto z przyległościami (za 80 tys. złotych guldenów) i wybudowali w nim siedzibę papieską, co jeszcze bardziej związało papieżstwo z Francją. Przedłużający się pobyt poza Rzymem, wzrastający nepotyzm oraz rosące obciążenia fiskalne, ściągane na rzecz kurii papieskiej, wzmacniały niechęć do rezydujących w Awinionie papieża, powodując dalszą utratę ich autorytetu i wpływów politycznych.

Następni papież rezydujący w Awinionie to: Jan XXII (1316-1334), Benedykt XII (1334-1342), Klemens VI (1342-1352), Innocenty VI (1352-1362).

Groźba utraty Państwa Kościelnego oraz wpływ licznych głosów nawołujących do powrotu do Rzymu (m.in. św. Brygidy, czy św. Katarzyny Sieneńskiej), skłoniła papieża Urbana V (1362-1370), wbrew woli dworu francuskiego, do powrotu w 1367 r. do Rzymu. Jednakże, pod naciskiem kardynałów francuskich, a także zrażony walką stronników politycznych i buntami żołnierzy, w 1370 powrócił do Awinionu. Awiniońska niewola papieża zakończył dopiero Grzegorz XI (1370-1378), przenosząc w 1377 r. siedzibę papieżstwa ponownie do Rzymu. Powrót do Włoch nie zakończył jednak kryzysu papieżstwa. Po wyborze następcy Grzegorza XI, Włocha Urbana VI, przedstawiciele kleru francuskiego w kolegium kardynalskim dokonali wyboru antypapieża, Francuza Klemensa VII (1378-1394), co zapoczątkowało tzw. Wielką Schizmę Zachodnią (1378-1417).

Pogoda sprawia, że nici z planowanej pieszej wędrowki przełosem rzeki Verdon. Plan awaryjny to przejazd lokalną szosą między kolejnymi punktami widokowymi. Szosa wąska, centymetry dzielą nas od kilkusetmetrowej przepaści, a ulewa zacina. Gdy przebyliśmy najgorszy odcinek, wszyscy robią kierowcy aplauz.

Deszcz powoli ustaje i możemy z góry podziwiać kanion. Co chwila na rzece widać pontony i kajaki miłośników sportów ekstremalnych.



DYGRESJA 3

Rzeka Verdon jest dopływem większej Durance, wpadającej z kolei do Rodanu. Woda płynąca przez wapienny płaskowyż przez wieki drążyła w miękkim podłożu swoje koryto. Tak powstał prawdziwy cud natury – największy kanion Europy. Jego głębokość waha się między 250 a 700 m, szerokość dna doliny wynosi od 8 do 90 m, a rozpiętość między krawędziami na powierzchni płaskowyżu dochodzi miejscami do 1500 m. Jaskrawość rzeki pozwala dostrzec ją wysoko z góry. Słowo "verdon" oznacza w języku prowansalskim "podarunek zieleni". I rzeczywiście, za sprawą alg kolor wody to mieszanina szmaragdu i odmian zieleni. Ze względu na swą niezwykłość przełomy rzeki Verdon wpisane zostały na elitarną Światową Listę Rezerwatów Biosfery UNESCO.



Dojeżdżamy do miasteczka Castellane. Oddaję teraz głos Wojtkowi [przypisy moje]:

Pogoda nagle wspaniała, słońce, błękitne niebo, a na jego tle rysuje się kapliczka Notre Dame du Roc na skalnej iglicy [raczej trudno tę ścianę skalną zwać iglicą] o wysokości 180 metrów. Ponownie dajemy czas wolny. Ambicją większości jest wejście na imponującą iglicę, ale ci, co poszli według wskazówek turystycznych wracają zniechęceni [to o mnie i Jarku] – tabliczki wskazują 2,5 godziny w jedną stronę. Sprytniejsi [to o Wojtku] znajdują jednak drogę wzdłuż murów obronnych, za kościółkiem, tu wystarczy pół godziny. A dla nas 20 minut i już jesteśmy na samej górze. Widok ze skalnego tarasu łącznie imponujący.



DYGRESJA 4

Jest to tak: wystarczy pokazać Wojtkowi S. skalistą ścieżkę, wiodącą stromo do góry, z jakimś zamkiem lub kościółkiem na szczycie (choć nie jest to warunek konieczny), a natychmiast tam wyrusza (z grupą mu podobnych). Przyznaję, że ja również mam tego typu aberrację. Jednakże na tej Wyprawie musiałem rzecz traktować selektywnie, gdyż moja żona Ania miała kontuzję kolana i była wspinaczkowo niemobilna. Niekiedy (z bólem serca) pozostawiałem z nią na nizinach.



W rezultacie znowu pochodziliśmy po miasteczku i znowu skończyło się na piwie w knajpie.

Ostatnim punktem dzisiejszej wycieczki jest Entrevaux, cudowne średnio-wieczne, obwarowane miasteczko, z górującą nad nim potężną twierdzą. W pobliżu przebiegała ongiś granica między Francją, a Sabaudią, która była raczej upierdliwym sąsiadem.

Tym razem bez dyskusji zostawiamy żony na dole, a sami (Jarek i ja) pniemy się zakosami do góry. Byliśmy jedni z pierwszych!

Późnym wieczorem wracamy do Szuflandii w Awinionie i zaraz do łóżek (tym bardziej, że w autobusie robiliśmy sobie testing-wine).

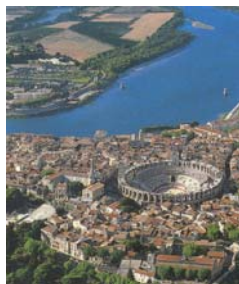
16 sierpnia PROWANSJA

Po „śniadaniu” (żona mnie dodatkowo dokarmiła), jedziemy do Arles, leżącego nad rzeką Rodan. Miasto było kolonią grecką, później rzymską. W I w.p.n.e. stanowiło jeden z głównych centrów handlowych imperium rzymskiego.

Zatrzymujemy się na parkingu nad Rodanem. Obok cumują duże rzeczne statki wycieczkowe – niektóre pod banderą szwajcarską.

Wyruszamy do centrum. Oczywiście w pierwszej kolejności zwiedzamy doskonale zachowany amfiteatr rzymski. Do dzisiaj wykorzystywany jest na imprezy widowiskowe. Gdy w nim byliśmy, był przygotowany do corridy. Obejrzeliśmy jeszcze teatr (też z czasów rzymskich) oraz muzeum im. Vicenta Van Gogha (który tworzył również w Arles). Ku naszemu rozczarowaniu nie było tam ani jednego oryginalnego obrazu malarza – tylko współczesna sztuka prowansalska.

Taka mała ciekawostka: prawie wszędzie, gdzie za wstęp trzeba płacić (a niekiedy jest to sporo np. 15-20 €), funkcjonuje niższa za bilet grupowy. Zawsze, gdy zachodziła potrzeba, następowała mobilizacja potrzebnej ilości osób ze stanu osobowego Wyprawy. Tylko raz musieliśmy dokooptować parę Japończyków, aby uzyskać kworum (bo naszych nie było pod ręką).



Z Arles jedziemy do Le Baux-de-Provence, siedziby potężnych możnowładców. To tutaj był najsłynniejszy prowansalski „Dwór Miłości”, gdzie trubadurzy opiewali urodę i cnotę dam.

Dzisiaj to ruiny ogromnej twierdzy i wybudowane w jej cieniu pseudośrednio-wieczne miasteczko handlowe. Mimo paskudnego upału zszedłem twierdzę wszere i wzdłuż. Na ogromnym dziedzińcu-płaskowyzu ustawione są działające modele machin oblężniczych w skali 1:1. Jakiś młodzian w średniowiecznym stroju demonstruje ich działanie – z pomocą kilku osiłeków z pośród turystów.



Dalej jedziemy do Gordes – perły prowansalskiej architektury. Jesteśmy zmęczeni i głodni. Liczymy na wspaniały obiad, ale w restauracjach patrzą na nas jak na idiotów. W godzinach 15-19 nic nie można we Francji zjeść – wyjątkiem są bary szybkiej obsługi w hipermarketach, ale takiego tutaj nie ma. Podobno ktoś znalazł gdzieś zeszlotygodniowe naleśniki, ale większość grupy kupiła coś w sklepach i zrobiła sobie piknik na skraju drogi.

Jedziemy więc do ostatniego celu dnia – Fontaine-de-Vaucluse – zdrojowiska położonego koło niezwykłych źródeł rzeki Sorgue. Miasteczko to właściwie trzy ulice, wybiegające z centralnego placu. Idziemy deptakiem w stronę góry Luberon. Po prawej stronie rzeka zachowuje się nieco nielogicznie – im bliżej źródła tym robi się szersza i głębsza. Widać jak woda wydostaje się z dna. To jeszcze nie jest właściwe *fontaine*, tutaj woda tylko wydobywa się spomiędzy skał, dokąd dopływa podziemnymi korytarzami z rzeczywistego źródła. Rzeka nagle się kończy, dalej prowadzi tylko kamieniste łozysko.

Do właściwego źródła dochodzimy po chwili. O tej porze roku nie jest ono specjalnie efektowne. Pod 200 metrową ścianą skalną jest zejście do gigantycznej groty. W jej głębi widać malutkie jeziorko – o nieznannej głębokości. Nurkowie osiągnęli 240 m, a robot zszedł na 314 m i nie dotarł do dna. Późną jesienią i wczesną wiosną strumienie przewalają się przez krawędź i płyną suchym teraz korytem, bowiem wtedy do rzeki Sorgue wpływa 90 m³ wody na sekundę.

I tak nam zeszło do 19-tej i mogliśmy wreszcie zjeść w restauracji obiadokolację. Do Szuflandii, w Awinionie, wróciliśmy tuż przed północą.

Krzysztof Papierkowski



JAK PILOT Z WIEŻĄ

(autentyczne rozmowy)

Pilot: Dzień dobry, Bratysława!

Wieża: Dzień dobry! Dla informacji – mówi Wiedeń.

Pilot: Wiedeń???

Wieża: Tak.

Pilot: Ale dlaczego? My chcieliśmy do Bratysławy!

Wieża: OK. W takim razie przerwijcie lądowanie i skróćcie w lewo...

Wieża: Macie dość paliwa czy nie?

Pilot: Tak.

Wieża: „Tak” co?

Pilot: Tak, sir!

Pilot: Mamy mało paliwa. Pilnie prosimy o instrukcje!

Wieża: Jaka jest wasza pozycja? Nie ma was na radarze.

Pilot: Stoimy na pasie nr 2 – i już całą wieczność czekamy na cysternę...

Wieża: Wasza wysokość i pozycja?

Pilot: Mam 180 cm wzrostu i siedzę z przodu po lewej.

Pilot: Prosimy o pozwolenie na start.

Wieża: Sorry, ale nie mamy waszego planu lotów. Dokąd lecicie?

Pilot: Do Salzburga, jak w każdy poniedziałek.

Wieża: Dzisiaj jest wtorek.

Pilot: No to super; czyli mamy wolne...

Wieża: Jesteście Airbus 320 czy 340?

Pilot: Oczywiście, że 340!

Wieża: W takim razie niech pan będzie łaskaw włączyć przed startem pozostałe dwa silniki...

Wieża: Speedbird – wiesz, gdzie masz kołować?

Pilot: Chwilę, kontrola, szukam mojej bramki.

Wieża (z zimnym zadęciem): Speedbird 206 – co, nigdy nie byłeś we Frankfurcie?

Pilot (z zimnym spokojem): A tak, byłem. W 1944. W innym Boeingu. Ale tylko, żeby coś zrzucić. Nie zatrzymywałem się tutaj.

[z Internetu]

W następnych numerach: **JAK PILOT Z PILOTEM** oraz **JAK PILOT Z MECHANIKIEM**

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
233

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji

